Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 46. Poznań dnia 11. Lutego. 1839.

Literatura zagraniczna.

Podróże i wyprawy wojenne księcia Maxymiliana Wirtembergskiego w Polsce, w Litwie, na Rusi i na Ukrainie.

Pod tym tytułem wyszło przed sto piętnaście lat w języku niemieckim dzieło, malujące szczegółowo dawniejszą Polskę i jéj stósunki, mogące w tym względzie służyć za dodatek do zebranych przez Niemcewicza pamiętników. Jest to młody, piętnastoletni książę, który porwany urokiem sławy wojennéj, porzuca dom rodzicielski, aby pod wojującym w Polsce Karólem XII. wprawić się do rzemiosła wojskowego. Nie odstraszają go ani dziki po części, a do tego spustoszony kraj polski, ani tatarski sposób wojowania króla szwedzkiego. Szczerze się do niego przywięzuje i wszystkie z nim dzieli przygody. Opis ten jest dziełem jednego z dworzan, ciągle księciu towarzyszących; z niego udzielamy tu niektóre wyimki.

Porzuciwszy książe dwór rodzicielski w Stutgardzie, w Styczniu roku 1703, obrócił najprzód drogę na Drezno i Berlin, w których obu stolicach miał sobie spokrewnione osoby rodzin królewskich. Krótko jednak w obu zabawiwszy, puścił się daléj w podróż na Köslin, Stolpe, i 7go Marca wjechał do Polski. Miał wtenczas w swoim orszaku prałata i kaznodzieję Ossiandra, który poniekąd jego był ochmistrzem, barona i szambellana Veit i dwóch służących.

Na samym wjeździe do kraju polskiego, to jest do owczesnego województwa Pomorskiego i dzisiejszych Pruss zachodnich, uderzył bardzo księcia i jego towarzyszów, ubiór i zwyczaje szlachty zagrodnéj, nieodpowiadającéj bynajmniéj temu, co w Niemczech szlachtą nazywają. Chodziła ona bowiem po większéj części w kożuchach i boso. Młodzież szlachecka ofiarowała natychmiast swe usługi w najęciu koni i innych ręcznych robotach. Wszyscy jedynie polskim językiem mówili. Niedogodne były i jedzenie i noclegi osobom z orszaku księcia; on sam zaś na nic nie zważał, bo trawiony był niecierpliwością dostania się do tego, którego zawczasu za mistrza swego w życiu uważał. Przyjechał tak książę owemi szlacheckiemi podwodami, dość spiesznie, na Oliwę do Gdańska.

Przybywszy do tego miasta, najprzód starał się, wywiedzieć, co się z królem szwedzkim dzieje? i gdzie przebywa? o czem najdokładniejszych spodziewał się zasięgnąć wiadomości u szwedzkiego rezydenta Cyperkrona. Ten atoli nic nie mógł udzielić pewnego, prócz to, że król z wojskiem swojem ruszył z Krakowa ku Warszawie. W nadziei zatem zasiągnienia pewniejszych wiadomości, zdecydował się książę zostać jeszcze w Gdańsku dni kilka, ażali nie przybędzie jaka wiadomość pocieszająca od wojska szwedzkiego. Krążyły bowiem zasmucające wieści o stanie zdrowia króla, a między Gdańszczanami ci, co związki listowe z Polską utrzymywali, zakłady nawet czynili, że król szwedzki już nie żył, i że ten, którego za niego udają, inną jest, zmyśloną, i tylko podobną do niego osobą. Tem bardziéj były zatrważające dla księcia te wszystkie domysły, że w niemieckich miastach, przez które był przejechał, te same krążyły pogłoski, i gazety nawet z wielu miejsc o tem donosiły, z różnemi jeszcze dodatkami, jako to np. że gdy król szwedzki w czwał na koniu biegł, ten pod nim upadł, król nogę złamał i ztąd w ciężką wpadł chorobę; co wszystko było prawdziwe, prócz śmierci. Słowem nic jeszcze nie można było wyrozumieć z rozmaitych sprzecznych z sobą doniesień. Ale gdy nie wypadało, ani puścić się daléj krajem wojną zaburzonym, bez pewnego celu, ani też wrócić się nazad, w skutku bezzasadnych wieści, przeciągał zatem książę pobyt swój w Gdańsku, od jednéj poczty do drugiéj, czekając na pewniejsze wiadomości. Tymczasem wysłał ochmistrza swego prałata Ossiandra do króla Augusta, który o sześć mil od Gdańska, to jest w Malborgu, przebywał, prosząc go o paszport i konwój przez saskie i polskie wojska, aby się do szwedzkich czat mógł dostać: a choć w rozmowie z królem polskim, prałat Ossiander bynajmniéj nie zataił

jakie były zamiary księcia Wirtembergskiego, król, jak najłaskawiéj zezwolił na wszystkie żądania. Kazał wydać paszport i rozkazy do wszystkich dowodzców wojska w tym kierunku stojącego. Korzystał atoli król August z téj sposobności, aby przez prałata Ossiandra przesłać królowi szwedzkiemu punkta przedugodne do upragnionego od niego traktatu, które to punkta wręczył też późniéj prałat królowi Karolowi; ale dla jednego głównego warunku przyjętemi być nie mogły. Zapytał też prałat Ossiander króla Augusta: czy istotnie żyje jeszcze król szwedzki? — »Żyje,« odpowiedział August, »i powinien żyć; żałosny byłby zgon tak wielkiego bohatera!« Doniósł późniéj Ossiander i te słowa królowi szwedzkiemu, które ten monarcha nie obojętnie słyszeć zdawał się.

Powrócił zatem do Gdańska z dobrą wieścią prałat Ossiander i natychmiast książę i jego orszak wszystko do dalszéj przygotowali drogi. Dobrał sobie tłumacza na polski język, monetę polską i pojazd; bo tu ku Polsce nie było urządzonéj poczty. Prócz tego opatrzył się w żywność i w broń, albowiem w kraju, gdzie wszędzie pełno było rozbijających partyzantów, trzeba było na wszystko być gotowym. Co do monety, nie kursowała już od Gdańska inna tylko holenderskie talary, a drobniejszą monetę liczyno na tymfy, szóstaki, dytki i szelągi. Wyjechał książę na Tczewo do Malborga, gdzie rozkwaterowany był dwór króla Augusta i minął to miejsce cichaczem. Ztamtąd puścił się dalszą drogą do Trompelfeld, gdzie król Polski był przytomny, wielkiem polowaniem zajęty. Daléj przebywając różne inne małe osady, w których saskie wojsko stało, przybył na noc do Montwy a potem na Kwidzynę do Torunia.

Miłe mu było przybycie do tego miasta, daleko już porządniejszego od tych wszystkich, które od Gdańska był widział, i gdzie prócz tego mieszkańce niemieckim mówią językiem. Był w Toruniu garnizon saski z czterech tysięcy ludzi złożony pod dowództwem jenerałów Revel i Kanitz. Po przejrzeniu paszportu i instrukcyi królewskiéj, przyjął księcia komendant miasta bardzo uczciwie i wartę honorową przystawił mu w mieszkaniu. Co zaś do nakazanego przez króla Augusta konwoju, aż do przednich czat szwedzkich, nie można było jenerałów saskich do tego namówić. Odpowiedzieli, że gdy nie ma ustanowionego Kartelu między nimi a Szwedami, trzebaby się jeszcze porozumieć z nimi w téj mierze, coby wiele ściągnęło zachodu A przeciwnie, nie uprzedziwszy Szwedów, nie mieliby oni żadnego względu na konwój. Zdawało się im nawet, że jest większem jeszcze niebezpieczeństwem, puścić się z wojskową eskortą między nieregularnych partyzantów, którzy ze wszech stron po kraju się włóczą, i najczęściéj nie mają wyobrażenia o konwoju ani o paszportach. Musiał się zatem książę zdecydować i bez konwoju w dalszą puścić się drogę. Nabrawszy nowych zapasów żywności arcy potrzebnéj w tak spustoszałym kraju, przebył najprzód książę pieszo, mocno już zamarzłą rzekę Wisłę, potem dostał się do Służewa. Tu jego orszak, powiększony został dwoma nowemi osobami, byli to obywatele wolnego miasta Bremy, którzy w téjże saméj, co i książę intencyi do króla szwedzkiego podróżowali. Przybył potem książę do wsi Stare Borówki, gdzie w krótce odwiedził nas jakiś szlachcic polski, i o wielu się rzeczach u nas rozpytywał, jakby chciał wybadać, kto jesteśmy i dokąd zmierzamy. Gdy jednak nie wypadało księciu, ani jego towarzyszom dać się poznać byle komu, oddalił się ów szlachcic nie zadowolniony, i za drzwiami zaczął gniewliwie wygadywać, między innemi często powtarzał słowo skurwy syny, co, jak się późniéj dowiedzieliśmy, jest obelżywy wyraz w polskim języku. Tu orszak księcia jeszcze powiększony został, bo przyłączył się do nas ksiądz Ormiański, który również do Warszawy jechał. Gdy potem książę do Sanik przybył, dowiedzieliśmy się, że to miejsce i cały powiat już był od Szwedów zajęty, i że przed kilku dniami oddział szwedzkiéj jazdy, posunąwszy się aż o cztery mile od Torunia; prócz siana i słomy, z każdego dymu po sześć talarów zażądał. Ten gatunek podatku, które podymnym czyli *collectam fumalem* nazywają, uchwalony został na sejmie Warszawskim w ostatniéj wojnie szwedzkiéj, za króla Jana Kazimierza, a teraz ją Szwedzi na swój zysk wybierali. Już nam teraz łatwiéj szła podróż, bo mało słychać było o polskich podjazdach, a więcéj o szwedzkich, z większą już zatem pewnością książę do celu swego trafić miał nadzieję.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Zachód słońca.

Wschodnim szlakiem mroki suną,
Lazurowe ćmią niebiosa,
A na zachód krwawą łuną
Gore słońce i z ukosa
Na dąbrowy i na góry
Sieje rubin i purpury.

Po równinach w lewo — w prawo
Sioła — błonia — gaj zielony,
Brzmią wspaniałą pieśni wrzawą;
Których dzikie — szorskie tony
Nadwiślańską mknąc doliną,
W zgodném echu drzą i giną.

A w dolinie na ustroni
Jak pasożyt na mogile,
Tak się w gruzy zamku sloni
Drobna chatka. Wisła w tyle:
Przodem z wiatry pod niebiosa
Buja topol biało-włosa.

Stary rybak w ruin cieniu
Zadumany siadł głęboko;
Wrzkomo łata sieć w milczeniu,
Lecz na zachód wlepił oko,
Jakby ziemskie jego siły
Gdzieś za słońcem uchodziły.

Ale wyraz jego twarzy,
Blask źrenicy — wargi drzenie,
Świadczą, jak się w głębi żarzy
Żal — serdeczne zachwycenie.
Zwolna do nóg spadły siecie
I rzekł: »Anno! moje dziecie!«

Błysło w progu — to dziewica;
Co za postać — kształt uroczy!
Tylko róży takie lica,
Tylko Polki takie oczy;
I aniołów piękność taka.
I siadła u stóp rybaka.

Starzec czule całowanie
Na dziewiczéj złożył skroni;
A tuląc swe pomieszanie,
Słodkim głosem mówił do niéj:
»Siądź tu — przy mnie, moje dziecie!
»Bo mi tęschno dziś na świecie.

»Widzisz Anno! tam — na wschodzie,
»Tam samotna gwiazda płonie;
»Któż przygani jéj urodzie? . . .
»To twój obraz. Mój — w téj stronie;
»Chłodnéj nocy czuję gońce!«
I zachodnie wskazał słońce.

»Jak to słońce po błękicie,
»Ja wśród ciernia na téj ziemi,
»Długą drogę — cierpkie życie,
»Przemierzyłem stopy temi;
»A więc święć się niebios wola!
»Ale twoja córko dola?« . . .

Umilkł — w całéj okolicy
Rzewne — głuche trwa milczenie;
Tylko słychać płacz dziewicy,
I topoli liścia drzenie.
I starzec drżał całem ciałem,
I z rosnącym rzekł zapałem:

»Jam rybakiem się nie rodził,
»Do rozumu od powicia
»Każdy dzień jak Maj mi wschodził;
»Po tym ścierpła czara życia;
»Ja z uśmiechem gorycz piłem,
»Bo kochałem — bo marzyłem.

»Bo wierzyłem lwiemi siły;
»Mógłżem wiedzieć, że z powodzi
»Aż do grobu — do mogiły
»Na rybackiéj spłynę łodzi? . . .
»Baśnie! baśnie! idźcież sobie,
»Niech spokojnie zasnę — w grobie.

»O! nie — o! nie. Wrzące jady
»Pierś mą palą — wszakże nie śnię? . . .
»Jacyś ludzie — jakieś gady
»Snują się tu, i boleśnie
»Pożerają serce moje;
»Anno! Anno! ja się boję.«

I na drzącém córki łonie
Rozpalone lica chowa;
Oczy we dwie kryje dłonie;
I znów cisza trwa grobowa.
Potém blednie wzrok ponury,
Jak słońce przez ciemne chmury.

»Gdzież ja jestem? . . . cóż się stało? . . .
»To ty Anno! . . . zkąd te płacze?
»Niechże moję chatkę małą,
»Niechże Wisłę choć zobaczę;
»Wszystko — wszystko moje dziecie!
»Com ukochał na tym świecie.

»Któż ta postać w bieli cała . . .
»Tam — w ruinach przy kolumnie;
»Jakaś jasność ją owiała . . .
»A ręce wyciąga ku mnie . . .
»Tak — to ona — Marja moja!
»Tak — to ona — matka twoja.

»Widzisz — ku nam zmierza krokiem;
»Ach! jakże mi cięży głowa . . .
»Cyt! . . . ona mnie wzywa okiem . . .
»Idę . . . Anno! . . . bywaj . . . zdrowa!«
Z témi słowy życie zgasło;
I na niebie słońce zaszło.

Tylko księżyc po ruinach,
Blade — drżące światło sieje,
Tylko puszczyk po szczelinach
Pogrzebowe pieśni pieje.
Coraz grubszy mrok zapadał;
Kto był rybak? — próżnom badał.

Kraków, w Styczniu 1839. *J. N. J.*

Scena na murowanym mostku.

Przed niewielą laty widziano we Lwowie chłopca w sinym surduciku, z czapeczką na bakier, z tłumoczkiem

pod pachą, który od gospody do gospody biegając, traktował nowoprzybyłych potrzebnemi i mniéj potrzebnemi rzeczami: mydełko i inne golarskie przyprawki, rzemyki papierowe do brzytew, wódka kolońska, czernidło i bawidełka stanowiły sklepik jego zwyczajny. Widywałem 'go nieraz w moich do Galicyi przyjażdżkach i mogę go opisać dokładniéj. Twarz krągłą z lekko wzniesionym nosem ożywiały piwne biegające oczy, jakby do wypatrywania gości stworzone; barczyste ramię przywodziło na myśl ładunek, a wzrost mały nie źle się przydawał ku częstemu rozpakowywaniu. Z temi przymiotami zgadzały się i inne. Przelecieć kulą połać zajezdnych domów, upatrzyć chwilę drzymiączki szwajcara, wpaść prosto pod numer, gdzie stanął świeżo gość ze wsi, przymówić się z usługą, ugodzić w stronę słabą, pokazać z nienacka swój towar, zachwalić go i sprzedać, szło mu zwykle jak z mydłem. Stróże tylko i gospodarze domów zawsze nań marsa stroili.

Razu jednego patrzałem z progu gospody na murowany mostek, gdzie się coraz liczniejsze kupiło zgromadzenie. Wychodzące ze szkoły żaki z książką lub sexternem pod pachą, z kałamarzykiem u guzika, z linią lub tabliczką w ręku, stawali nagle przed mostkiem i pootwierawszy gęby, zdawali się zapytywać jeden drugiego: co to będzie? Daléj nieco szeregowali się hajducy, pachołęta, kelnery i wszelkiego rodzaju posługacze; zatrzymywał się mimowolnie w téj ciżbie przechodzący lub przejeżdżający podróżny, rzucał tam okiem zazdrośnem z koszykiem lub szlafrokami krążący żydek, a tu i owdzie nudzący się w chwilach poobiednich szlachcic podchodził ku oknu lub balkonowi i lorynetował zbiegowisko. Na murowanéj poręczy leżał wypchany tłumoczek i tuż na kamieniu stał jego właściciel, wyjmując i zalecając widzom świeżoprzybyły, jak mówił, zapas towarów. Tą razą były to z gruboklejonego papieru wycinane figurki, pstro i niezgrabnie umazane, których pojedyńcze członki za pociągnieniem ukrytéj nitki przybierały ruchy najdziwaczniejsze. Wyjmował jednę po drugiéj, wykazywał ich zalety i upatrywał lubowników. Pierwsza, którą ukazał, przedstawiała osobę poważną, z nosem potężnym, zawiesistym wąsem, w długim stroju i przy karabeli. Ze słów, któremi ją zachwalał, brzmiało daleko: r y c e r z! b o h a t y r! w c z t e r d z i e s t u p i ę c i u b i t w a c h p o g r o m c a! To mówiąc, patrzał po oknach i balkonach, a pociągnięta figurka wywijała papierową szabelką. Po chwili wyjmując inną, przedstawiającą junaka w kuso podciętéj katance zanucił niby od niechcenia: E j! j a k o z a k z U k r a i n y! i w tejże chwili poczęła owa figurka dziwnie nogami wywijać, niby kozackiéj p r y s i u d y, co się zdala, stojącym chłopakom niezmiernie podobało. Z kolei ukazała się osobka w peruce, z długim harcopem: jedną ręką kładła w nos ogromną szczyptę tabaki, w drugiéj kiwała prętem, niby nakazując s i l e n c i u m! Uradowało to mocno w koło stojących żaków, bo mieli sposobność wyśmiać professora, który ich nielitościwie chłostał. Tymże sposobem ukazywał się pejsaty żydek, basza i mnóstwo innych. Ukazujący umiał zawsze coś nowego znaleść, powiedzieć, rozśmieszyć, a jego tłumoczek wypróżniał się widocznie. Stojący obok mnie gospodarz zawołał z westchnieniem: s z k o d a c h ł o p c a!

Jakto? spytałem, czy przedawanie cacek lub jakichkolwiek drobnostek masz Waćpan za rzecz upadlającą?

Broń Boże! ale proszę no pana, jak ten chłopak, co sam niedawno był żakiem, i dla hultajskich sprawek wypędzony został ze szkół normalnych, jakto on umie takich, co to już niby i starzy i coś więcéj od niego wiedzą, w pole wyprowadzić. Uważ no pan, z jaką namiętnością, z jaką drzączką to robi. Czy widzisz pan ten ogień w oku, tę w twarzy ironią, którą zdaje się mówić przytomnym: błazny, błazny! otóż mam wszystkich w kieszeni! O, wierzaj mi panie! jak ludzkie potrzeby, zmieniają się równie zatrudnienia ludzkie; ale tak wcześnie, tak głęboko wkorzenione nałogi ....

Żałowałem, że nie mogłem go dosłuchać, czekający bowiem od godziny ludzie moi niecierpliwili się coraz mocniéj, dając znać, że się spoźnimy. Wsiadając do powozu, ścisnąłem rękę tego poczciwca, a jego głos z głębi przekonania idący i ten sierdzisty wyraz twarzy, z jakim ostatnie słowa wymawiał, zostały im żywo w pamięci.

Hola, hola! zawołał w téj chwili redaktor, który wszedłszy cichutko do mego pokoju aż dotąd przez ramiona w pióro mi patrzał: »Także dotrzymujesz słowa danego?« — »Jakto?« — »Wszakżeś mi przyrzekł, że pierwsza praca, którą się teraz zajmiesz, będzie dla mego Tygodnika. Cóż to znów piszesz?« — »Artykuł.« — »Dla kogo?« — »Dla ciebie.« — »Ale pamiętaj, że wydaje T y g o d n i k l i t e r a c k i. W tém zaś, co dotąd zajrzałem, jest jakaś przygoda, jakiś obrok duchowny, lecz ani pół słówka o literaturze. Niewiem, czyśmy się dobrze porozumieli, pozwól, że ci powtórzę myśl moję. Literatura nasza rozwija się w mniejszych lub większych gromadkach, jak kwiaty pośrodku urwisk i wiszarów, które zejść i obejrzeć nie łatwo. Za lat kilkadziesiąt znajdą się tacy, co z większą niż my troskliwością te kwiaty zbiorą, ułożą, policzbują i właściwszemi nazwy oznaczą; opisze je jaki pracowity Juszyński, objaśnią pełni erudycyi przypiśnicy; ale mniej więcéj będzie to

rodzaj mumii: ujrzysz tam wszystko prócz barw grających i téj dyszącéj siły, którą w swojem kwitnieniu samodzielnie na otaczające przedmioty wylewali. Coś z tych barw, coś z tego życia rozrzuconych gromadek chciałbym skupić w mém pismie. Wracasz z Galicyi. Rzuć kilka rysów, któreby tchnęły ziemią i przedmiotami, o które się otarłeś. Wykryj różnorodność jako pierwszy warunek życia, ukaż potęgę pierwiastków i ich zetknięcie, skryśl, ile rozwinięciu rodowych pomaga obcych zgłębianie, powiedz co o swojskiéj piosnce, gawędce, powieści, o przeobrażonéj komedyi lub wielkiéj kompozycyi dramatycznéj zawiązku. Niechaj w tem wszystkiem przejrzy i cząstka w słońcu mdlejąca, i uroszona w zarośli, i liść zieleniejący i zblakły i soki pąka i ciernia. To jest to, o co cię błagam usilnie.«

»Pojmuję światłą twoję uwagę, i co do zasad nie rozminęliśmy się bynajmniéj. Przedstawiam ci ze wszystkiemi szczegółami scenę najpierwszą, którą nad Peltewą ujrzałem; jeśli w niéj nie znajdziesz nic, naczemby z przyjemnością oko twoje spoczęło, wiń raczéj przygodę, która mnie właśnie z tem, a nie czem innem strąciła. Nie sprzeciwię się, jeśli ją nazwiesz pseudo-literacką i z piśmiennego koła, o którem tak piękne wyobrażenie powziąłeś, wykluczysz. Wielkim pięknościom towarzyszą wielkie niedostatki, cóż winien przechodzień, że mu właśnie te, a nietamte nadstawiono? Wreszcie sam przyznaj, że życie literackie nie jest jemiołą, i chcąc w niem to lub owo wyjaśnić, trzeba częstokroć zajrzyć i w pień i w korzeń. Może w podobnym przypadku znajduję się z tem, co kryślę. Miasto więc uwag, z których rad będę korzystał przy każdéj sposobności, pozwolisz, że pszystąpię do ukończenia mojéj przygody, a część, którą dotąd przejrzałeś, będzie ku temu tłem, czyli jak ktoś pięknie w twojem piśmie wyraził: podścieliskiem.

Roku 1838 we Wtorek rano wjechałem grodecką rogatką do Lwowa. Zajeżdżając do Zorza woła na mnie z okna dawny przyjaciel. Biegnę ku niemu; witam się. Wróciwszy po niejakim czasie do siebie zastają na stoliku spis potraw, kartkę meldunkową i Lwowianina. Służący oznajmuje mi, że pan, co tu przyniósł tę książkę kazał się kłaniać i przyjdzie tu sam póżniéj. Wreszcie zapytywał się, jak długo zabawię i o inne drobnostki. Uderzyło mię nieco dziwne towarzystwo téj książki; z tem wszęstkiem zawdzięczając uprzedzającą grzeczność, wziąłem się do czytania w pierwszych chwilach, które mi wolne zostały. Lwowianin czyli zbiór potrzebnych i użytecznych wiadomości, jest jak już z napisu wnieść można rodzaj magazynu. Pojawił się roku 1835 i dotąd wychodzi. Otwieram wykaz przedmiotów i czytam artykuły wydawcy, jako to: Burkut, wyjątek z podróży w Karpaty, władza kamieni; żyd czyli hebrejczyk między narodami, Lew, Doroszenko asawuł i t. p. Chcę przedewszystkiem poznać zdolność, smak, zapas wiadomości, rodzaj nauki, któréj się oddaje i sposób pisania wydawcy.

Spotykam rzędy wyrazów w równoległych odstępach to spojnikami powiązanych, to w kształt okresów przestankami, średnikami, kropkami i linijkami poprzecinanych, zapełniających przedziałkę po przedziałce, stronicę po stronicy i kartę po karcie; lecz w ich wnętrzu trudno związku, trudno znaczenia, trudno myśli wypatrzyć. Tu owdzie brzmi niby wywoływanie kuglarza, tu jakiś wydzierek z książki niezgrabnie nadłatany, tu jakiś koncept uliczny, gwarzenie śledziarek lub przekupniów, jeśliby ich kiedykolwiek napadł kaprys podrzyźniania autorstwa. Przedzierając się przez ten tłum różnogwarny brzmień i znaczeń przypomniałem sobie powieść o chłopku, co to z miną pisarską zasiadł do listu i stawiał kółka, kółeczka, kropki, haczyki, zygzaki i tym podobne wykrętasy, z których nie jeden miał podobieństwo prawdziwéj litery lub hieroglifu; lecz gdy pan, u którego stanął był za pisarza, kazał mu to wszystko przeczytać, odpowiedział prostodusznie: ja się na to nie godził. Gdyby, pomyślałem sobie, wydawca Lwowianina miał tyleż sumienności, zapytany, co znaczy np. ów okres: Przekonało doświadczenie, że w przeznaczeniu jest byt uzupełniony, okrągły jak wieczność; albo: Ludzie oddalając się od natury na łonie pomysłów ukołysali twórczego ducha i t. d. odpowiedziałby: ja nie objaśniacz, ja pisarz.

Takie myśli nasuwały mi się podówczas, jednakże błędne, albowiem powyższe okresy są przedsionkiem do tajemnic magów, których nasz wydawca jest gorliwym zwolennikiem, i rokuje niepospolitego z czasem adepta. Odwoływanie się na powagę ojca Kirchera i jemu podobnych, przytaczanie ich mądrości, które uczeni niedowiarkowie bajami nazywają, jako to: o przeistoczeniu w jaskini panormitańskiéj; o okręcie ze czterdziestu skamieniałymi ludźmi w Szwajcaryi, o skamieniałem mieście, o wojsku hiszpańskiem, które przechodząc góry Andes najprzód zmarzło, a potem skamieniało; wreszcie własne jego twierdzenia oczywiście tego dowodzą. Zaczerpnąwszy w siebie wiary, jako najpotrzebniejszego w takim razie żywiołu, jąłem się artykułów historycznych.

Jak duchy na zaklęcie Kagliostra, występują tu: Rybczyńscy, Komorowscy, Niezabitowscy, Gorajscy, Moszyńscy, Woronieccy i t. d., a ich czyny brzmią ze źródeł niewątpliwych: Apotraty, Sosiniewicza, z broszurek

widzianych u nieboszczyków, z napisów na łukach tryumfalnych, które się zapewne za pomocą maści nieśmiertelnéj przez lat kilkaset przechowały, z rejestrzyków kapitulnych, z kropek i miejsc próżnych na pomnikach i t. p. któremi, jak mówi wydawca: akta grodowe i kroniki prostuję, a rycerzy wskrzeszam!

Cha cha cha! słyszę śmiech niedowiarka: żadnego Apotraty, żadnego Sosiniewicza nie było na świecie, to istna fikcya! wczytajcie się jeno w sam lat wydawcy.... »Co, co, he? ksiądz Apotrata, ksiądz Sosiniewicz nieżyli? A wieszże panie Zoilu, że pierwszą zasadą magów jest: nie wywoływać tych, którzy się nierodzili, bo się im nie pojawią. Sam wielki Kagliostro doświadczył tego, wywołując przez zapomnienie Bartolda Szwarca. Miałżeby wydawca być takim profanem i nie korzystać z doświadczeń mistrza?«

Ależ siedząc i pisząc w Galicyi, dodawać w przypisach: obacz akta watykańskie w Rzymie, akta cesarzów w Wiedniu, lub obacz akta roku 1638 do Warszawy i dalej wywiezione, jakto wydawca na stronie sześć dziesiątéj trzeciéj i setnéj robi, nie jestże to drwić z czytelników? Czytalże te akta wydawca, gdzie, jak i kiedy? żyjeż on już dwieście lat?

»Takby się to niby z owego przypisku zdawało; lecz cóżby w tém było dziwnego? Wszakże ów wielki mistrz jego żył lat dwa tysiące. Zaświadczy to nasz rodak Ogiński, który go znał osobiście, był z nim w przyjaźni i miał go długi czas na swoim dworze.«

Ależ owi cytowani świadkowie, i ci, o których oni świadczą, mają tak kostrubate koncepta, że się zdaje, jakby z wydawcą jedną klassę kończyli.

»No, to prawda; lecz i to da się wytłumaczyć z elektryczno-magicznych styczności, jakie zachodzą między zmarłym a wskrzeszą.«

Tak szamotałem się myślą z Zoilami. Niedaremnie nieboszczyk Chmielowski zasłonił się kurtyną od ich szturmu. Kładę książkę i przechadzam się po pokoju. Wiara magiczna zaczęła na mnie skutkować. Zjawiska były coraz ciekawsze. Lwowianin, jak *liber magnus* otwarty leżał na karcie 100. Liczba tajemnicza. Zbliżyłem się, widzę Józefa Kimbara, jakby przemawiał w Grodnie. Oddał go dobrze Oleszczyński. Ledwiem się dotknął, aliści to Stefan Wojna książę Woroniecki, świadczy o tem dowodnie podpis i objaśnienie, że go zwano Wojną, bo był na wojnie.

Zajrzałem w stronicę 49. Nowa transfiguracya! chcę się przekonać: »Bartek, pójdź sam tu!« — »Słucham pana.« — »Co to jest?« — »Obrazek.« — »Co za obrazek?« — »Pan Jezus.« — »Cap jesteś! *) jak się nauczysz czytać, dowiesz się, że to Jan Łaski.«

Najdłużéj zajął mię zeszyt siedemnasty z pierwszego półroczka 1835. Wpatruję się w popiersie młode zmarłego poety, którego wizerunek przyrzekł podobno jakiś nakładnik czy księgarz, ale się dotąd nie uiścił. Tak wiele o tym pisarzu mówiono, tak pokochano jego pisma! Może dostrzegę w tych rysach ową rzewność, którą rozlewał w Maryi. Jakowyś ironiczny uśmiech zalatuje mi w pamięć ... twarz krągła, z lekko wzniesionym nosem .....

»Ej, znam go gdzieś!« — »Przecież go w życiu nie widziałem! tak dawno umarł!« — »A gdyby ożył?« — Ledwie to pomyślałem, drzwi się otwierają — wchodzi .... Zaczułem niby proszki magiczne — zegar bije dwunasta — dreszcz mię przejął, włosy się podniosły. — Wszelki duch! — chciałem krzyknąć. Zapomniałem, że to było południe. Opamiętawszy się nieco, ledwie przebąknąłem: »Kogo mam .... zaszczyt ....« — »Jestem Ludwik Zieliński, autor i wydawca Lwowianina.«

Kiedy dziś wolny od wpływów magicznych spisuję owo zdarzenie, i rys do rysu, szczegół do szczegółu przykładam, zdaje mi się, że z małą odmianą powtórzyła się przedemną scena, którą niegdyś na murowanym mostku widziałem Miasto wypchanego tłumoczka leżały spore tomy Lwowianina, i tuż stał jego wydawca, w którego mniemaniu czytająca publiczność jest zgrają żaków lub gawiedzi, a umiejętność i dzieje narodu, z których czcigodne imiona powtarza, według gustu lub narowu widzów podskakującą łątewką, czyli po galicyjsku mówiąc: hanswursztem. *Jan Płaza.*

Przegląd pism.

Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania w dawniejszych czasach przez Józefa Łukaszewicza. 2 tomy. W Poznaniu 1838. r.

(Dalszy ciąg.)

Na przedstawienie więc Górki wydal Zygmunt I. r. 1536. rozkaz do magistratu, aby się nie ważył pod karą 10,000 grzywien bronić Żydom reparacyi domów i najmowania sklepów po domach prywatnych chrześciańskich. Stefan Batory, pozwolił im wszelkiego handlu bez najmniejszego ograniczenia w mieście lub za miastem, bez żadnych przeszkód z czyjéj kolwiek bądź strony. »Ponieważ zaś — są słowa tego przywileju — cmentarz i zwłoki do grobów odprowadzane, pospólstwo chrześciańskie częstokroć napada, otwiera i łupi, i tym podobnych bezpraw się

---

*) Pokazało się później, że mój Bartek niebył wcale tak głupi, jak sobie wtedy myślałem, albowiem sam rysownik wyznał, że rysując to popiersie, niemiał przed sobą innego wzoru prócz pana Jezusa.

dopuszcza, przeto postanawiamy, aby magistrat dopuszczających się gwałtu tego rodzaju karał więzieniem lub chłostą.« Tym samym przywilejem pozwala Stefan Batory Żydom poznańskim kupować i przedawać w dni świąteczne i wszystko to robić, co w dni takowe Chrześcianie robić zwykli; stanowi oraz, aby, jeżeli Chrześcianin pobije, porani Żyda, sprawa ztąd wynikła sądzoną tak była, jakby między dwoma Chrześcianami. Zygmunt III. swoim zwyczajnym połowicznym trybem, nie wydał w téj materyi żadnego mandatu ale zniżył się do listu przyczynnego za Żydami do magistratu pisanego, aby im tenże nowy obszerniejszy plac na mieszkanie wyznaczył. Magistrat, chcąc się oprzeć szerzeniu Żydów, wysłał do Króla Arnolda Burmistrza, Nidbora syndyka i Kijewskiego pisarza miejskiego z obszerną informacyą i z przedstawieniem na list przyczynny, w którém się między innemi to znajduje: »Żydzi dekreta królewskie swą przewrotnością niecują, za wywietrzałe i wątpliwe udają, panów protekcyą sobie zaciągając, te na ludzie miejskie poddane W. K. M. wsadzając, pod tytułem pańskim i szlacheckim gruntów na przedmieściu nie mało gwałtownie osięgają; a panowie tam władzę i juryzdykcyą sobie windykując, miastu i mieszczanom więzieniem i biciem grożą. Jakoż de facto nie dawno za naprawą żydowską dwu mieszczan okrutnie więzili — aleć dobry pan i gospodarz drapieżnego zwierza, gadzinę, robactwo z dziedziny, majętności albo domu swego jak najbardziéj uprząta, szerzyć się im nie dopuszcza. Jest to okrutny zwierz, żydowska szarańcza, która florem civitatis depascit; jestto jadowita gadzina i plugawe robactwo, które wedle psalmu 58. comedit Jacob et locum ejus desolat. Pożera wierne Bogu i Zbawicielowi ludzie W. K. M. najniższe poddane i miasto ich pustoszy. Przodkowie nasi widząc, jak wszelkich szkód, wszelkiego spustoszenia miastu temu Żydzi są i byli zawsze przyczyną, oni bowiem już po trzykroć miasto spalili, oni plagę powietrza morowego i chorób sprzedawaniem mięsa spowietrzonego sprawili, sposoby żywności mieszczanom odjęli, tak że Chrześcianie wszystkiego prawie z ich rąk patrzeć muszą, uchwałą obwarowali, aby się w mieście daléj rozszerzać nie mogli.«

Deputowani miasta przypuszczeni zostali do posłuchania i przełożywszy swoje gravamina, wyjednali dla miasta wyrok królewski, zakazujący Żydom osiadać po przedmieściach.

To ciągłe pasowanie się miasta Poznania z Żydami trwało do końca panowania Władysława IV. Aż do téj chwili, jeżeli z jednéj strony Żydzi prawa miasta w czémkolwiek na korzyść swoję nadwerężyli, z drugiéj strony miasto potrafiło zawsze poskromić ich, i ten wylew, że tak rzekę, w brzegach swoich utrzymać. Ale w późniejszych czasach, gdy powszechny nieład krajowy, od panowania Jana Kazimierza począwszy, i na miasta wpływ zgubny wywarł, gdy najazdy nieprzyjacielskie, morowe powietrze, wyludnienie nie dozwalały miastom zwracać uwagi na praktyki żydowskie; słowem gdy się u nas wszystko rozsprzęgać zaczęło, Żydzi poznańscy dopiero podnieśli głowę i wydarli z rąk Chrześcian handel i wszelki zarobek, zagarnęli prawie cały krajowy majątek i już od tego czasu nie dozwolili sobie z rąk wytrącić raz pochwyconego łupu. W tym stanie rzeczy mieszkańcy chrześciańscy Poznania nie mogąc inaczéj, jak z niewagami mścić się na Żydach, *) potyrali ich wszędzie, napadali częstokroć ich domy i bożnice, nie przepuszczali nawet ich grobom i obwiniali ich o porywanie dzieci chrześciańskich. W roku 1736. Maciej Kazimierz, synek kilkoletni Wojciecha Jabłonowicza, mieszczanina z przedmieścia Wenetowa, zginął jakimś sposobem rodzicom i trup jego znaleziony został po dwóch dopiero tygodniach pod wsią Górczynem. Wnet rozgłosiło się po mieście, że Żydzi dziecko chrześciańskie porwali, aby z niego wytoczyć krew, któréj oni w mniemaniu pospólstwa potrzebują do namaszczania oczu swych ślepo rodzących się dzieci, poczém te przezierają. Rzuciło się nawet pospólstwo na Żydów, ale magistrat poskromił ten rozruch **)

Takie obchodzenie się z Żydami uczyniło ich w każdym kraju odrębném towarzystwem i skierowało wszelkie ich usiłowania do handlu i przemysłu, jako jedynych środków osiągnienia bogactw. Żyd nie znał innéj rozkoszy, jak zgromadzanie pieniędzy, bez wielkiego wyboru środków w ich nabywaniu. Ztąd poszło moralne upośledzenie tego ludu, który zkąd inąd mógł się stać dla kraju bardzo użytecznym. Po rynku, po ulicach, przedmieściach i wsiach okolicznych snuły się roje próżniaków żydowskich, czychających na przejezdną szlachtę, aby ją do kramu zwabić, oszukać, albo też biednego chłopka za fraszkę, ostatniego grosza pozbawić. Nie dość na tém: po domach prywatnych włóczyli się Żydzi z towarami, nie wychodząc z izby, dopóki czego od nich nie kupiono, lub też dopóki ich po kilkakroć za drzwi nie wypchnięto. Rzemiosła cięższego wzdrygał się Żyd, chwytając się lekkich i korzystniejszych, lecz w małéj tylko liczbie, cała zaś niemal ludność męzka biegała po ulicach za szachrajstwem: tu ujrzałeś Żyda z zajęczą skórką w ręku, owdzie z pakiem zużywanych platów, indziéj znowu nadskakującego przyjezdnemu ślachcicowi, aby z niego pare groszy jakimkolwiek bądź sposobem wyludzić. Co gorsza, Żydzi odbierali i kupowali kradzione rzeczy, a tém samém stawali się główną podnietą kradzieży. Akta kryminalne z owych wieków napełnione są inkwizycyami Żydów, którzy albo sami kradzież popełnili, albo też rzeczy kradzione przechowywali. Nadto Żydzi byli niechlujni w ubiorze i pomieszkaniu. Ulice ich i domy były błotem, śmieciami zapchane, psując odrażającemi wyziewy powietrze w całém mieście. Obok tylu i tak wielkich wad, posiadali niektóre bardzo pożyteczne społeczności ludzkiéj przymioty. Do tych należała ich miłość dobra ogólnego (rozumie się żydowskiego), która ludowi temu wieczną exystencyą wśród innego panującego

*) Następująca protestacya Żydów wniesiona do akt grodzkich r. 1618. pokazuje, jak sam magistrat na prześladowania przez szpary patrzał: »Chaim i Icek starsi, Jakob Mendel i Józef Probs z pospólstwa żałobliwie uskarżali się naprzeciwko panom burmistrzom, rajcom i cechmistrzom, iż oni we Wtorek przed S. Dominikiem subordynowawszy malarza Armona i czeladnika jego, żeby ci niezwyczajne figury Żydom na wzgardę na murze ratusznym malowali, a mianowicie: Żydy i żydówki siedzące na wieprzach i insze konterfekty. O czém gdy niektórzy z starszych Żydów z panem burmistrzem Arnoldem expostulowali, aby takie rzeczy na miejscu pospolitém, gdzie sąd i sprawiedliwość wszelaka odprawuje się i miejsce J. K. Mości zasiadane bywa, ku wzgardzie ludu żydowskiego nie było malowane. Pan burmistrz na to śmiech sobie uczyniwszy, powiedział: zapłaćcie malarzowi, niechajże to zmaże. Co dla pokoju swego uczynili i dawszy mu złoty i sześć groszy, prosili, aby zmazał; co uczynił. Potém jednak trzeciego dnia tenże malarz insze malowanie wyraził: to jest wygnanie Żydów z kościoła jerozolimskiego, i obok tego malowania żydówkę mimo ratusz idącą przez pobudka (sic) na imię Łukasza gwałtownie pochwyconą i zatrzymaną i na wizerunek wystawioną konterfektował, przy któréj też Żyda wymalował, a pod nim świnię.« Ztąd powstał straszny rozruch, w którym pospólstwo bożnicę i kilka domów zburzyło, złupiło i Żydów kilku potłukło i ciężko poraniło.

**) Zdaje się, że Żydzi bardziéj jeszcze niż pospólstwo chrześciańskie zabobonni, dali powód do mniemania, jakoby dzieci chrześciańskie wykradali. R. 1663 w samę Wielkanoc porwali Żydzi w Poznaniu z domu ulicy drewnianéj Jana Kopacza, mularza, zawlekli go do bożnicy, obrzezali gwałtem, dali mu w rękę przykazanie boże i kazali mu modlić się sposobem żydowskim. Ponieważ zaś Kopacz żadną miarą nakłonić się nie dał do przyjęcia religii żydowskiéj, przeto przybili go do ściany za ręce i nogi żelaznemi gwoździami; a gdy i to męczeństwo nie zachwiało jego wiary, zdjęli go wpół umarłego i do domu odnieśli. Akta Grodzkie poznańskie opisując to zdarzenie, umieściły zeznania świadków, obdukcye chirurgów, jako ręce i nogi Kopacza były przebite, nie zawierają atoli w sobie dalszego śladu téj sprawy.

narodu zapewniła. Ich oszczędność i wstrzemięźliwość w życiu, ich wytrwałość w każdém przedsięwzięciu i niezrażanie się żadnemi trudnościami.

Szwedzi po dwakroć w Poznaniu, zuchwalstwo jezuickich studentów, łotrostwa domowe, powietrze, z Tomu II. od karty 331.

Roku 1655. dnia 29. Lipca poddał się Poznań Szwedom ma mocy 3go artykułu ugody zawartéj między województwami poznańskiém i kaliskiém, a Arnolfem Wittembergiem, wodzem wojsk szwedzkich. Radziejowski i generał szwedzki Marderfeld, uprzedzili wojsko szwedzkie do Poznania dla nakłonienia mieszkańców, aby się Szwedom poddali; co oni też naśladując zły przykład szlachty województw wielkopolskich, uczynili; ale przeniewierstwo to drogo przypłacili. Albowiem ledwie wojsko szwedzkie do Poznania weszło, dopuszczało się natychmiast niesłychanych zdzierstw i gwałtów. Nie ochraniając nikogo, wywarli Szwedzi szczególniéj złość swoję na duchowieństwo świeckie i zakonne. Jezuitów i Bernardynów, zabiwszy z tych ostatnich jednego, wygnali z miasta. Braniecki, sufragan poznański, broniąc praw kościoła, legł w przysionku kościoła katedralnego, trzema kulami od Szwedów przeszyty.

Kronika klasztoru panien Benedyktynek tak (w rękopiśmie) o Szwedach pisze: Panowie nasi naprzód przyjechali, pan Wojewoda poznański Krzyszt. Opaleński z p. Wojew. kaliskim And. Grudzińskim, rozkazując miastu, aby się poddało; trębacz szwedzki był z nimi. Czego gdy mieszczanie uczynić nie chcieli, powiadając, że się mieli czém bronić. Panowie rzekli do nich: jeżeli wy się bronić będziecie, my będziemy przeciwko wam (!) a będzie wam gorzéj, bośmy się już wszyscy królowi szwedzkiemu poddali. Tu już rada, nie wiedząc, co czynić, nie sprzeciwiała się; a zatém trębacz rozgłosił wolny przystęp Szwedom do miasta. Nazajutrz wjechał kommendant, kommisarz i inni starsi; a panowie wojewodowie nasi jak najprędzéj z Poznania ujechali. Nakazano zaraz dawać ordynaryą pewną tym, którzy byli przed miastem, na każdy dzień wołów 15, owiec 100, chleba 3000 bochenków, każdy po 8 funtów, piwa 130 beczek, prócz tych, których w mieście podejmować musieli. Było tych oszarpańców dosyć, lud bardzo znędzniały i zmorzony. Mówili potém sami naszym, by was było wyszło ze trzy sta zbrojnych, do bitwy gotowych, wniwecz byście byli nas obrócili, choć nas było 7000. Pierwszego dnia mówiono, że pokój, że to już nasi panowie; aliści drugiéj nocy poczęli sklepy łupić żydom i samym mieszczanom; wino ze sklepów fasami brali, a na rynek wystawiali, pili i jako bestye się walali. Mógłby był do jednego porzezać, ktoby się był na to udał. Potém w kilka dni przyjechali szwagier królewski, kanclerz i Radziejowski; ci wszystkę armatę miastu odebrali. Żądali wydania wszystkich praw miejskich, z któremi mieszczanie sprawniejszych z miasta wysłali, a gdy się wymawiali, że bez króla nie śmią się tego ważyć, dano co starszych do więzienia, a burmistrzowi na straż rajtarów przystawiono. Potém musieli przysięgać, że nie wiedzieli, kędy się te prawa natenczas obracały. Szwedzi postanowili urząd wszystek swój; zatém kościoły łupili, księży kijmi bili, w nocy ich na zamek brali, szukając skarbów kościelnych, które, choć już pobrali, jeszcze więcéj chcieli. Klucze od wszystkich kościołów pobrali, tylko samę farę do nabożeństwa katolickiego zostawili. A oni sami kilka zborów po kamienicach sobie uczynili i na ratuszu i na wadze. Przed Wielką nocą kazali zwołać wszystkich zakonników, których jeszcze było w Poznaniu 60, żeby się zeszli, których zaraz wszystkich wygnano i wytrąbiono z miasta. Trzej tylko Jezuici się uprosili, żeby mogli pozostać dla usługi wiernych.

A siostry nasze w nieznośnym strachu były, bo panowie nasi lutrzy największą chrapkę na kościół nasz mieli, że przed kilkadziesiąt laty był ich zborem (był to pałac Górków.) A gdy się o to panom starszym szwedzkim bardzo przykrzyli, ci posłali do siostr dwie panie, aby kościoł zobaczyć mogli. Zaczém siostry za radą duchowną choć z wielką obawą pozwoliły przyjść szwagrowi królewskiemu, sekretarzowi kanclerzowi, siostrze królewskiéj z dwiema białemi głowami. Skoro weszli do najpierwszéj forty, taką ostrożność zachowali, że ani jednemu czeladnikowi za sobą wnijść nie dopuszczając, zaraz za sobą drzwi zaryglowali. Tam wielką ludzkość siostrom pokazali. Potém prosili, aby ich do kościoła wpuszczono; a że z ulicy były drzwi bardzo zatarasowane, chciały ich przez klasztor wprowadzić; ale oni żadną miarą nie chcieli, obawiając się jakiéj zdrady. Musiano tedy z ulicy drzwi odwalić. Obejrzawszy go, rzekli do siebie po niemiecku, że za mały.

(Koniec nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Muzeum domowego wyszedł zeszyt 12ty zawiera: O romansach Pawla Koka. O rytownikach u nas osiadłych, (dokończenie). Podróż napowietrzna balonem z Anglii do Niemiec. Wisbaden. O noworoczniku na rok 1838, wydanym przez St. Krasińskiego.

Wyszedł także 22gi poszyt Gospodarstwa wiejskiego p. Oczapowskiego; zawiera: Dalszy ciąg o uprawie roślin okopowych i pastewnych, wraz z nauką o łąkach i pastwiskach.

Pan Stanisław Moniuszko ułożył muzykę do trzech śpiewów Mickiewicza. W przyszłym numerze zdamy o nich sprawozdanie.

Czyński wyda w krótce znów nowy romans: »*La revolte des femmes,*« w 2 tomach.

Ostrowskiego tragedya pod tytułem: »*Françoise de Rimini*« wyszła z druku. Grano ją już na teatrze wersalskim. Tragedya ta jest przerobieniem na język francuzki dzieła Silvio Pellico »Przekład« jak pewne pismo mówi »dosłowny o ile być może; wiersz gładki, rym mocny nadały trochę życia tkliwemu utworowi więźnia w Spilbergu i zjednały mu dobre przyjęcie u publiczności, jakkolwiek gra aktorów, nieodpowiadała caléj delikatności dzieła, jakkolwiek parter wersalski nienawykły jest bardzo, do ocenienia słodkich, a zarazem wzniosłych uczuć. Oklaski były częste i huczne i autor wywołany z zapałem.«

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*